Zeszyt 17. Rok I.



Lwów 23. Maja 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

VI.

(C. d.) Nazajutrz wcześnie rano do pokoju Bzowskiego wszedł profesor ubrany w kitlę płócienną, mając na głowie słomkowy kapelusz. Wszedłszy obejrzał się wokoło, gdyż brata dostrzedz nie mógł. Dopiero po chwili zobaczył go zasuniętego w fotel przed biurkiem stojący. Bzowski miał na sobie wczorajszy jeszcze ubiór salonowy, jakby się dzisiejszej nocy nie kładł na spoczynek. Twarz pana Onufrego zwykle rumiana, pełna dobrodusznej wesołości, była blada, zasępiona, zmięta jakimś wewnętrznym bolem; usta drgały mu nerwowo; wyglądał dziwnie zestarzały, przygnębiony, a myśli gdzieś tak daleko uciekły, że nawet wejście brata nie obudziło go z zadumania. Przez jedną noc postarzał się o całe lata; była to dziś ruina człowieka, wczoraj jeszcze tak rzeźkiego

Profesor, który wszedł, aby od brata pożyczyć sobie laski na wycieczkę, stanął zdziwiony i przestraszony. Widząc, że Onufry nie daje znaku życia, przystąpił do fotelu i położył rękę na ramieniu brata.

— Onufry! Onufry! — zawołał z cicha. — Spisz?

Bzowski wstrząsł się, potarł rękami czoło i spojrzał błędnym wzrokiem w stronę brata.

— A! to ty, Antoni. Któraż godzina?

— Siódma. Prześliczny ranek. Skorciło mnie wyjść na spacer trochę dalej. Dajno mi jaką laskę...

— Masz tam w kącie cały zbiór, wybierz sobie. — Bzowski znów zasunął się w fotel. Profesor spojrzał uważniej na brata i nie ruszył się z miejsca.

— Źle wyglądasz, Onufry. Widzę żeś się nawet nie rozbierał. Tyś słaby?

— Broń Boże, zdrów jestem. Zasiedziałem się z Karolem do późna, a potem nie chciało mi się już rozbierać. Cała rzecz żem niewyspany...

— Nie pojmuję jaką przyjemność można mieć w rozmowie z tym śmiesznym, starym dandysem?

— Ty bo masz do niego uprzedzenie — powiedział Bzowski.

— Mam je do każdego, który swojej starości uszanować nie umie. Jak widać, stary trzop ma podagrę w nogach, a kręci się i wierci jak wróbel na nici.

— Ja nie widzę w nim nic śmiesznego.

— Przyjaźń cię zaślepia. Dla mnie wygląda jak trup zgalwanizowany, lub lalka woskowa poruszana sprężyną. I śmieszny i wstrętny.

— I wstrętny?—powtórzył bezmyślnie Bzowski.

— Jeszcze jaki wstrętny! Co z tobą mówić — rzekł profesor, szukając laski — nie wyspałeś się i wyglądasz jak szczur z mąki. Bądź zdrów, nie zobaczymy się aż wieczorem.

— Na obiad nie wrócisz?

— Nie. Chcę *per pedes apostolorum* zwidzieć okolicę i przypomnieć sobie dawne kąty. Pójdę dość daleko. Maryjka dała mi kawałek pieczeni i kromkę chleba... Wystarczy.

— Ale się zmęczysz.

— Ja? Cóż ty sobie myślisz? Sybarytą nigdy nie byłem, a nogi mam zdrowe jak rzadko. No, bądź zdrów...

Profesor wybrał laskę i już zbliżał się do drzwi, gdy brat podniósł się w fotelu i przemówił:

— Antoni, słuchaj no...

— Cóż takiego? — rzekł profesor, odwracając się do brata. Ten stał przy biurku i niby porządkował papiery.

— Mam do ciebie prośbę — rzekł nieśmiało.

— Czem ci mogę służyć?

— Potrzebowałbym trochę grosza — mówił Bzowski, patrząc w ziemię. — Możebyś mógł wygodzić mi pożyczką?

— Ależ najchętniej! — zawołał profesor i zaczął szukać pugilaresu. — Czemu nie. — Z gotowością, która świadczyła o jego złotem sercu, wyjął z pugilaresu pięć banknotów storublowych i podał je bratu. — Sobie zatrzymuję tylko sto rubli na wszelki wypadek, tobie daję pięćset. To cały mój majątek.

Bzowski popatrzył na brata wielkiemi oczami i ręki po banknoty nie wyciągnął.

— Żartujesz Antoni! — szepnął głucho.

— Na serjo ci mówię. Gdybyś mnie przenicował, nie znalazłbyś ani grosza więcej...

— Cały majątek? Wszakżeś wziął 20,000 rubli przy podziale ojcowskiego majątku. Gdzież je masz?

— Włożyłem w naukowe wydawnictwa. Płaca profesorska wystarcza mi, nawet z niej zwykle coś oszczędzam. Ot i teraz na wakacje mam z niej 600 rubli. Z tych daję ci 500.

Bzowski gorzko się uśmiechnął.

— Wiesz Antoni, myślałem żeś lepszy gospodarz — przemówił do brata. — Mnie robisz wyrzuty o nieopatrzne, zacofane gospodarstwo, o życie nad stan, a sam nie jesteś ani o jotę lepszy odemnie..... Bój się Boga! — zawołał zgorszony. — Cały majątek utopić w szpargały!...

Profesor spojrzał ze zdumieniem na Onufrego.

— Szpargały! Szpargały! — zrzymał się. — Et! co ty się na tem rozumiesz. To doskonale ulokowany kapitał. Korzystają z niego tysiące, naród cały... Któż będzie dbał o literaturę, jeżeli nie ludzie nauki, ludzie pióra?...

— Wolno tak robić magnatom, ale nie tobie...

— Albож to ja nie magnat? — zaśmiał się profesor. — Większym od niejednego miljonera, bo niewiele potrzebuję. Żony i dzieci nie mam, żyję skromnie, na starość mam zapewnioną emeryturę i czegoż chcesz więcej? Jestem panem całą gębą!... No, czemuż nie bierzesz pieniędzy?

— Dziękuję ci. Już nie potrzebuję...

— A to znowu co nowego? — gniewnie powiedział Antoni. — Skrupuły jakieś? Między braćmi? Wstydź się Onufry! — Mówiąc to, położył pieniądze na biurku przed Onufrym.

— Gdzieżbym ja miał sumienie obdzierać cię z ostatków — rzekł Bzowski, zbierając pieniądze dla oddania ich napowrót bratu. — Myślałem, że masz więcej zbytecznych zapasów, ale tak nie przyjmuję...

Profesor spojrzał na brata, ruszył ramionami, obrócił się na pięcie jak student i zaśmiał, idąc ku drzwiom.

— Bądź zdrów warjacie! — To były ostatnie słowa jakie przemówił do Onufrego, który w ręce wyciągniętej trzymał pięć banknotów.

Po chwili opadła mu ręka, banknoty z niej wyrzucił na stolik, twarz jego skurczyła się konwulsyjnym śmiechem goryczy, rzucił się na fotel, ukrył twarz w dłoniach, a z piersi jego dało się słyszeć straszne wewnętrzne łkanie. Nie płakał, oczy jego były suche, a przecież wstrząsało jego atletyczną postacią...

— Sześćset rubli całego majątku — kręciło się po jego mózgu. — Więc z tej strony nie ma pomocy!

Byłby siedział nieruchomie Bóg wie jak długo, gdyby nie Marja, która wbiegła do pokoju, w rannym negliżyku, zbliżyła się do ojca i ujęła obie jego ręce.

— Co ci, ojcaszku? — zapytała z troskliwością. — Stryjek powiedział mi właśnie, żeś jakiś nieswój. Co ci dolega, mój złoty? — powtórzyła prosząco, gdy ojciec nie dawał odpowiedzi i tylko ręką pogładził włosy córki. — Tyś słaby!

— Zdaje ci się, dziecko — przemówił wreszcie Bzowski. — Tylkom niewyspany. Całą prawie noc spędziłem na rozmowie z Bożyckim.

— Wszakże po otrzymaniu wieczornej depeszy, pan Bożycki uczuł się słabym i odszedł wcześnie do swego pokoju.

— Właśnie ta depesza była przedmiotem naszej rozmowy. Gdyście się pokładli, Bożycki przyszedł do mnie. Mieliśmy do omówienia bardzo ważne sprawy...

— Więc się teraz połóż, ojcaszku. Trzeba wynagrodzić sobie noc bezsenną. Bożycki śpi także. Ja się zajmę codziennemi sprawami. Proszę cię ojczulku, będziesz ze mnie zadowolony.

— Ani wątpię, moje dobre dziecko. Ale nie trzeba. Siadaj no przy mnie, mam i z tobą o ważnych rzeczach pomówić.

— Słucham cię, ojcaszku — rzekła Marja, siadając na krzesełku obok ojca.

— Wiesz dla czego zaprosiłem Karola do nas na wieś?

— Aby przyjemnie spędzić kilka dni ze starym przyjacielem.

— Nie, moje dziecko — mówił z cicha Bzowski, dobierając wyrazów, które mu z trudnością przychodziły na usta. — Chciałem od niego pożyczyć pieniędzy....

— A na cóż tobie ojcaszku pieniędzy? — zapytała naiwnie Marja. — Wszak dotąd wystarczały nam dochody. Wydatki mamy uregulowane; zkądże tak nagła potrzeba? Ale naturalnie Bożycki pożyczył?

Bzowski gorżko się zaśmiał.

— Bożycki odmówił pożyczki!

— Czy być może? — zadziwiła się Marja. — Taki serdeczny przyjaciel! I wieleż ojcaszkowi trzeba?

— Prosiłem go o 2000 rubli...

— I tych nie dał? A, nie spodziewałam się!... Dobrze tak ojcaszkowi; to kara za szukanie obcych bogów, gdy swoi w domu. Wszak ojczulek wie, że mam w banku 3000. Zaraz po nie napiszę. Dobrze tatko?

— Serdeczneś dziecko, ale nie o tem chciałem mówić, tylko o tem, dla czego Bożycki odmówił pożyczki.

— Może sam nie miał pieniędzy — usprawiedliwiała go Marja.

— Raz dlatego, a po drugie dlatego, żem mu już winien, tylko się nie przestrasz, winienem mu czterdzieści tysięcy rubli!...

Domawiając to Bzowski powstał z fotelu i wpatrzył się w córkę, która również powstała. Z przerażenia nie mogła przemówić. Stała tak osłupiała, że Bzowski musiał dodać:

— Rozumiesz ty dziecko, co to jest 40,000 rubli?!...

Rozgorączkowany przechadzał się żywym krokiem po pokoju, aż go przykuł do miejsca wykrzyk córki.

— Matko Boża! Bzów cały nie wart więcej! Zkądże my oddamy? — Rozpłakała się.

— Nie mów tak do mnie dziecko... nie rań mi serca.... słuchaj tylko a nie płacz.... Przyszedł dzień spowiedzi.... przyjść musiał.... więc nie utrudniaj mi wyznania. Ty nie wiesz ile mnie kosztuje to zwierzenie...

Gdy mówił, oczy miał skierowane ku ziemi; ręce miął, chodził po pokoju, aby tylko nie spotkać wzroku córki, która drżąca, wzruszona siadła na krzesełku obok biurka.

— Ja sam — mówił pan Onufry w dalszym ciągu — dopiero wczoraj dowiedziałem się ile mu winien jestem. Bo nie myśl żem całą sumę pożyczył odrazu lub niedawno.... Początek tego długu datuje się od czasu gdym cię oddawał do pensjonatu w Krakowie, przed ośmiu laty... Wieś nasza niosła zaledwie 2000 rubli czystego dochodu. Z tego trzeba było pokryć wszystkie wydatki... Trzeba było żyć odpowiednio do stanowiska w obywatelstwie, dać ci wychowanie jakie przystało córce Bzowskich, a to wszystko wymagało więcej niż wieś dać mogła. Za ciebie płaciłem w pensjonacie z górą 1000 rubli rocznie; utrzymanie domu kosztowało najmniej dwa tysiące, a teraz jeszcze podatki, służba, składki obywatelskie, przy których trzeba się było pokazać; słowem wydatki i wydatki, a dochodu tylko 2000 rubli.... Cóż było robić?....

Bzowski odetchnął i chwilę milcząco chodził po pokoju. Marja podparła główkę na rękach i słuchała tej niespodziewanej, dziwnej spowiedzi ojca. W oczach jej perliły się łzy. Co się działo w umyśle dziewczęcia, trudno opisać. Zeznania te spadały jak gromy, a nie widziała ich końca.

— Hipoteki obciążać nie chciałem — mówił po przerwie Bzowski — bo czysta hipoteka to podstawa poważania w obywatelstwie... Udałem się do Bożyckiego i on pożyczył mi na skrypt pierwsze 2000 rubli. Pożyczając liczyłem na urodzaje, na podskoczenie cen ziemi i produktów... Zdawało mi się wtenczas, że mu bez trudności oddam głupich 2000 rubli razem z procentami... Nadzieje mnie zawiodły... Nie dochody ale wydatki się zwiększały.... Dla czego? ja nie wiem.... Przy pierwszej pożyczce oświadczył mi Bożycki, że mam u niego zawsze kredyt otwarty..... Ta łatwość dostania pieniędzy uspiła moją zabiegliwość, przezorność i pożyczka szła za pożyczką, mniejszemi kwotami, w różnych odstępach czasu... Bożycki nie upominał się o zwrot, nawet o procenta..... Dopisywałem mu je na nowych skryptach. Z początku prowadziłem rachunek tych sum, ale jak zobaczyłem, że pożyczki dosięgły wysokości 15,000 rubli, przestałem liczyć. Widziałem że idę w błoto; bałem się... wstydziłem liczyć dalej... okłamywałem sam siebie, łudziłem się rozmyślnie i nareszcie straciłem pojęcie: ile, kiedy i dla czego pożyczałem. Po odebraniu cię z pensjonatu, wypadało pokazać ci świat i ciebie światu. Wszyscy radzili podróże, najgorliwiej za tem przemawiał Bożycki, który zawsze bardzo cię lubił. Podróżowaliśmy więc. Widziałaś wiele, skorzystałaś wiele, co do tego punktu nie żałuję i dziś poczynionych wydatków... Bożycki pożyczał na wszystko, wiele razy go prosiłem, nie upominał się; więc nieopatrzne długi rosły i rosły bez końca... Wczoraj mówiłem mu o nową pożyczkę. Z pewnością byłby udzielił, gdyby nie telegram, który wczoraj wieczór otrzymał. Depesza od wiedeńskiego bankiera zmusza Bożyckiego pokryć stratę giełdową bardzo znaczną. Cały zapas gotówki odesłał natychmiast do Wiednia i został bez grosza. Przewidując że mogą go spotkać dalsze straty i będzie potrzebował więcej gotówki na poforsowanie swoich interesów, obliczył się tej nocy ze mną. Pokazał mi skrypta, a gdyśmy zesumowali, za głowę się chwyciłem... Jestem mu winien 40,000 rubli!... On gwałtownie pieniędzy potrzebuje... Oddać mu muszę... Za to że mi po przyjacielsku wygadzał, mam go w krytycznej chwili zawieść? Wystawić na nieobliczone straty? Za złe mu nie wezmę, jeśli natychmiast wejdzie na hipotekę Bzowa. Ale co to! Bzów nawet nie wystarczy na pokrycie jego pretensji..... Nam nic nie zostanie..... Ruina! — zawołał,

chwytając się za włosy — najstraszniejsza ruina!..... rozgłos!.... pośmiewisko!.... Dumny Bzowski pójdzie z kijem po żebrach!....

W oczach jego zaświeciła straszna łza rozpaczy, gdy domówiwszy tych słów, rzucił się na krzesło. Marja uklękła przy jego nogach i twarz w dłoniach ukryła. Płakała także.

— Ojcaszku! ojcaszku! — mówiła wśród płaczu — czemu ty pierwej nie obznajomił mnie ze stanem interesów.... Bylibyśmy się uszczuplili.... mniej wydawali... nie bylibyśmy doszli do takiej ruiny...

— O karć mnie dziecko, zawiniłem istotnie! — odezwał się pokornie Bzowski.

Marja otarła łzy i spojrzała na ojca.

— Ale może i teraz nie jest tak źle jak myślisz — uspokajało dobre dziecko. — W pierwszej chwili nieszczęście zawsze wydaje się większem jak jest rzeczywiście... Prawda że suma jest znaczna, że ją oddać trzeba prędko, aby pana Bożyckiego nie narazić na inne większe straty, ale przecież środki do zaspokojenia jego żądań znaleźć się muszą.

— Łatwo to mówić! — zrobił uwagę Bzowski.

— Ja ojcaszku mam 3000 rubli, mam po mamie klejnoty, które złotnicy oszacowali na 10,000 rubli. Zbiory przyniosą pewnie 4000.

— Z biedą ledwie 3000 i to pytanie, bo ceny spadły....

— Sprzedamy stadninę, wszystkie zbytkowe ekwipaże....

— I ledwie suma sumarum zbierzemy 20,000 rubli...

— Pomoże nam stryj Antoni — zapewniała Marja.

— Ma całego majątku 600 rubli! — zaśmiał się gorżko Bzowski. — Zresztą ja nie chcę, aby on wiedział o mojem nieszczęściu pierwej nim ono się spełni. Słyszysz co on codziennie mówi o nas szlachcie... Mamże być celem jego pośmiewiska?

— Ależ ojcaszku — żywo przerwała Marja — onby prędzej zapłakał. To nieocenione złote serce... Poprośmy więc Molskiej o pomoc... Dawała nam zawsze tyle dowodów życzliwości...

— Ona sama jest w trudnych stosunkach. Choćby rada, dopomódz nam nie będzie mogła; rzecz się tylko rozgłosi niepotrzebnie....

— Zrób ojcaszku układ o grunta pod kolej z panem Bodmerem. On zapłaci gotówką. To samo przyniesie kilkanaście tysięcy....

— Temi tysiącami siebie nie uratuję a ziemię oddam cudzoziemcowi. Niech ją raczej bierze Bożycki, przynajmniej swój będzie ją uprawiał. Lżej mi będzie w nędzy, gdy ludzie o mnie powiedzą: skapcaniał ale obcym ziemi przodków nie sprzedał...

Chwilę trwało obustronne milczenie. Ojciec i córka przemyśliwali nad sposobami wyjścia z tej matni. Nareszcie odezwała się Marja:

— Mówisz więc, że niema ratunku?

— Takiego, aby bez rozgłosu, bez pośmiewiska ludzkiego wyjść z nieszczęścia na czysto.... nie ma.... Myślałem na wszystkie sposoby myślenia i... nie ma... Sprzedaż stadniny, klejnotów, zbiorów, ekwipaży, nie wystarczy ani na pokrycie połowy długu..... Nagłość sprzedaży zwróci na nas oczy ludzi i wzbudzi tylko podejrzenia... Lepiej niech Bożycki hipotekuje się od razu na Bzowie, niech się świat od razu dowie, żem nędzarz... niech ja od razu wypiję kielich goryczy...

— Ale cóż ze sobą poczniesz, ojcaszku?

— O mnie bagatela! Pójdę służyć choćby za ekonoma, ale ty, drogie moje dziecko, ty Maryjko!... — Przycisnął córkę do siebie i zaszlochał. — Otom ci los zgotował!...

— Ojcaszku, nie myśl o mnie... Cóż ja tu znaczę.... Byleś ty miał starość spokojną, mnie będzie dobrze... Ja jeszcze nie tracę nadziei; mnie się ciągle zdaje, że z tego fatalnego położenia musi być jakieś wyjście...

— Byłoby... — szepnął Bzowski ledwie dosłyszalnie.

— O! to jest pewnie! — zawołała Marja, całując ojca. — Mów tylko, mów ojcaszku najdroższy...

— Nie!... Nie przejdzie mi przez gardło!...

— Ależ ja proszę — przymiliła się — ja cię zaklinam, ojcaszku!...

— Bożycki prosił o twoją rękę!... — Bzowski wykrztusiwszy te słowa, ukrył twarz w dłoniach i odwrócił się ku oknu.

Marja zadrżała na całem ciele. Ręka jej położyła się na sercu, jakby gwałtowne bicie jego stłumić chciała. Zbladła i drugą ręką o stolik oprzeć się musiała. Zdawało się, że padnie bez życia. Ale gdy oczy swe zwróciła na ojca, który zrozpaczony, przygnębiony, stał z twarzą w dłoniach ukrytą i płakał, myśl jej lotem błyskawicy przemierzyła całą przeszłość i pojęła że to dla niej po największej części tak się zadłużył ojciec, aby jej dać świetne, magnackie wychowanie, że to ona podróżowała za granicą i bawiła się; słowem, że ona była przyczyną ruiny. W tej chwili nie przyszło jej na myśl obwiniać ojca o życie nad stan, ona widziała tylko jego poświęcenie i dla tego stłumiła gryzący ból serca, i głosem bez dźwięku ale stanowczo zapytała:

— A gdyby ją otrzymał? Co w takim razie, ojcze?

— Dostanie Bzów w posagu niby i o naszym upadku nikt się nie dowie. Skrypta zniszczy i koniec troskom... Ja nadal będę gospodarował, bo Karol ani lubi, ani się zna na rolnictwie... Ale o czem tu mówić, moje dziecko. Gdzieżbyś ty chciała wyjść za takiego starca!...

Marja spojrzała załzawionemi oczami na ojca i rzuciła się w jego objęcia.

— Ojcaszku, jesteśmy zbawieni! — przemówiła drżącym, cichym głosem. — Możesz powiedzieć Bożyckiemu, że mu oddaję moją rękę!... Ojcaszku!... Jak ja cię kocham!...

Więcej mówić nie mogła. Głowa jej osunęła się na piersi ojca; musiał Marją podtrzymać silnem ramieniem, z obawy aby nie upadła. Co się działo w jego piersi? Wszakże musiał rozumieć jaką ofiarę spełniało dla niego młode dziewczę? Czy nie wypadało mu odrzucić tego poświęcenia? Nie byłoż samolubstwem z jego strony dla utrzymania majątku więzić młody kwiatek przy piersi starego, wyżytego człowieka? (C. d. n.)

Kochajmy się bracia!...

Kochajmy się bracia! W dniach smutku, niedoli,
Nam miłość potrzebna, niezbędna, konieczna,
Osłodzi nam ona boleści niewoli,
I rany zabliźni jej władza serdeczna.

Kochajmy się bracia! Złość wrogów wytęża
Swój umysł przewrotny na nasze zniszczenie,
Lecz miłość mocniejsza od siły oręża,
Ich przemoc pokruszy, nam da zjednoczenie.

Kochajmy się bracia! gdy zewsząd ponury
Cień zaległ ojczysty horyzont dokoła,
To miłość rozerwie, rozjaśni te chmury,
I słońce zwycięztwa oświeci nam czoła.

Krakowianka.

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XXI.

(C. d.) Upływały godziny długie, posępne, wśród nieustannego plusku deszczu, a Zaremba wciąż leżał z głową ukrytą w poduszkach sofy i myślał. Ogarniały go powoli te czarne, smutne, grobowe myśli, które były codzienną strawą jego brata. On się śmiał z nich a jednak oddziaływały one na niego, zwłaszcza, że w wielu z nich widział racją zupełną. Teraz był bardzo zrozpaczony. Nastąpiła katastrofa, której się ciągle obawiał, ale nieprzypuszczał by kiedykolwiek mogła nastąpić. Nie widział wyjścia z tego brzydkiego skandalu w obcym domu. Na myśl o tem wszystkiem krew falą uderzała mu do głowy.

Nagle wśród ciszy tych męczarni, jakie Zaremba przebywał, rozległo się pukanie do drzwi, i zaraz potem usłyszał głos Millera:

— Proszę otworzyć.

Zaremba zerwał się na równe nogi, przetarł czoło i przez chwilę zastanawiał się nad tem, czego może chcieć od niego Miller? Zapewne przyszedł powiedzieć mu delikatnie, żeby się wynosił z jego domu, w którym zrobił brzydką awanturę.

— Jeżeli mi tak powie, to będzie miał zupełną słuszność — myślał sobie Zaremba i poszedł drzwi otworzyć.

Miller wszedł cicho, z dobrotliwym uśmiechem na swej dobrej, niemieckiej twarzy. Wszedł, popatrzał dokoła, spojrzał w oczy Zarembie, uśmiechnął się, pogroził mu palcem i usiadł na krześle.

— No, no, panie Zygmuncie, co to się stało? Ja zresztą wcale wiedzieć nie chcę, co się tam... w bibliotece działo i jak to było. Ja tego wcale nie jestem ciekawy. Ale widzisz, trzeba to jakoś załagodzić. Ta aktorka już pojechała. Przyleciała do mnie z takiemi tragicznemi ruchami, że ja myślałem, że ona chce się zabić, a ona chciała tylko koni do Buska. Dałem jej konie i zamkniętą karetę i... pojechała.

— To dobrze, to bardzo dobrze! — odetchnął ciężko Zaremba.

— No, to nie jest tak znowu dobrze, jak się tobie zdaje panie Zygmuncie. Będą plotki, ale to już mniejsza. Wróćmy do rzeczy. No, cóżeśmy to zrobili? Zakochaliśmy się w aktorce, co? Hm! jest to bardzo źle. Kto ma żonę, jeszcze taką żonę, jak ty panie Zygmuncie, ten nie powinien się kochać w innych kobietach. Mnie się to tak zdaje, a może jest inaczej. Ja nie wiem.

Zygmunt nic nie odpowiadał, tylko przechadzał się wielkiemi krokami po pokoju.

— Ale jest to koniecznem następstwem waszego stanu umysłowego — mówił dalej Miller. — Spadliście z niebios nadziei, łamiąc karki i doznając okropnego wstrząśnienia. Ja to dobrze rozumiem. Wyczerpać wszystkie swoje siły, natężyć je do możliwego maximum i widzieć, że się to na nic nie zdało, owszem, że się to przyczyniło tylko do większego upadku, jest zaprawdę bardzo bolesnem. Robi to pustkę w umyśle i sercu, łamie wszystkie wiary i wszystkie ufności. Julek ze swym czarnym pesymizmem nie jest objawem wyjątkowym. Owszem jest to tak naturalnem, jak że noc po dniu następuje. Kiedy się wszystko straciło, pomimo nadzwyczajnych wysileń dla utrzymania choć części tego wszystkiego, wtedy człowiek jest pesymistą. Wzburzone fale życia społecznego i narodowego zamarzły w swem szalonem rozbujaniu i przedstawiają obraz okropnej ruiny. Wy wszyscy jesteście taką ruiną...

Mówił to stary Miller spokojnie, siedząc na kanapce, na której przed chwilą Zaremba leżał.

— Ja was rozumiem i boleję nad wami a więcej nad tym krajem, którego wprawdzie nie jestem synem, ale który kocham gorąco. Powiedzieliście sobie, jak ów rzymski zwyciężony, Brutus: „głupstwo cnota!“ — bo kiedy nic cnotą zrobić nie mogliście, kiedyście widzieli najświętsze prawa zdeptane i zgwałcone, kiedy bezczelny występek, kiedy dzika, barba-

rzyńska zasada siły przed prawem bierze górę i ostentacyjnie jest wyznawaną, kiedyście to wszystko ujrzeli, powiedzieliście sobie: precz z cnotą! I owocem tego okrzyku są wasze czyny... Jedni z was, widząc ogólne ubóstwo i ruinę kraju, powiedzieli sobie: największą zasługą jest pomnażanie dobrobytu. Zdanie takie zawsze najlepiej przypada ludziom do serca, poziomym instynktom używania. Więc się rzucono skwapliwie do robienia grosza, zakładano banki, budowano koleje, robiono się bankierami i wołano, że wszyscy powinniśmy być bogaci, jak gdyby kiedykolwiek kraj nasz mógł być na prawdę tak bogaty, by o jego bankierskie względy się ubiegano. Zresztą zapomniano, że takie forsowne gonienie za groszem skupia ten grosz tylko w ręku nie wielkiej liczby ludzi i wytwarza się w kraju najbrzydsza, najwstrętniejsza z arystokracji, arystokracja pieniężna. To robili jedni — drudzy nic nie robili tylko używali życia, bo ono jest krótkie, nie powtarza się i strasznie głupie. Tyle szczęścia, co człek użyje. Ojczyzna, patrjotyzm to mrzonka nic nie warta...

— A! tak nie jest — przerwał Zaremba.

— Poczekaj, niech ja skończę. Wiem ja co mówię i do czego dążę. A przytem, ja nie tylko ciebie tu sądzę, lecz wszystkich. „Mówię, bom smutny i sam pełen winy“. Ja jestem już stary, znacznie starszy od ciebie i wiele widziałem. Postawiwszy sobie zasadę używania życia, powiedzieliście sobie, rodzina... głupstwo wierutne, i rzucając dom, latacie za lafiryndami, aktorkami, które wysysają waszą dobrą, poczciwą ale nieopatrzną krew polską, i waszą kieszeń...

Zaremba znów chciał zaprotestować. Ale Miller mu nie dał:

— Mówię ci nie przerywaj mi. Cóż ty myślisz, że ja nie wiem, żeś ty prawie zrujnowany, że masz więcej długów niż cały twój majątek wynosi? Przecie i mnie winieneś sześćdziesiąt kilka tysięcy, o które się nie upominam, bo je sobie spłacę dochodem ze sklepu. A z czegóż ta ruina? Źleście stali, to wiadome, ale przy pomocy wasze interesa byłyby się wyprostowały powoli i za lat kilka mogliście być jeśli nie ludźmi bogatymi, to zamożnymi. A teraz? co tu o tem gadać! Wyprawiałeś aktorkom kolacyjki, kupowałeś im suknie, brylanty, rujnowałeś się... Oto wasze czyny... Ale widzisz mój panie Zygmuncie, ja cię nie winię, ja was wszystkich nie winię... Kiedy kto umiera z głodu to własne palce ogryza. Wy się tak sami zjadacie z rozpaczy, z pustki wewnętrznej i z gorącej krwi...

Poprawił się na kanapie i patrząc swemi maleńkiemi oczkami za chodzącym Zygmuntem po pokoju, mówił:

— Oj ta gorąca krew. Proszę ja ciebie, albo ja... Czy to było mi potrzebne, w moim wieku, na starość, żenić się?... Prawda, jakie ja głupstwo zrobiłem? — a raczej nie ja, tylko moja stara, pomorska, na pół słowiańska krew... Ożeniłem się z młodą dziewczyną, dobrą, piękną, ale lekkomyślną i nieopatrzną, która mię powoli rujnuje. Czy ty wiesz wiele ja wydałem od chwili ożenienia się? Jak mię tu widzisz, przeszło pięćkroćstotysięcy złotych, to jest więcej niż czwartą część mego majątku. I na co? — na nic, na zbytki... Ale stary Miller ma siłę woli. Powiedziałem sobie dziś, kiedy mi grad zbił zasiewy i straciłem znów jak nic sto tysięcy złotych, że dość tego. Robiłem głupstwa ale więcej ich robić nie będę. I nie cofnę się, nie ustąpię, jakem Miller. Nigdy nie jest zapóźno na poprawę. Ja się poprawię i chcę także, byś ty panie Zygmuncie się poprawił. Donnerwetter! jesteś przecie synem mego przyjaciela!...

— Dziękuję panu panie Miller — odrzekł Zygmunt i podał rękę kupcowi — dziękuję bardzo. Ale co ja mam robić, z czego się poprawić? Jestem obecnie jak rozbitek, który widzi dokoła tylko wodę i żadnego ratunku. Ostatnia nić serdeczna zerwana...

— Cóż ty nazywasz ostatnią nicią serdeczną? Czy tę... pannę... jakże ją tam nazywają... Izę...

— O! nie... mówię o żonie mojej.

— No! — rzekł Miller z uśmiechem — nie jest to tak źle, jak się tobie zdaje. Widziałem się z twoją żoną i rozmawiałem z nią długo. Biedaczka siedzi u siebie i płacze, a to już jest dobrze. Powiedziałem jej, że na błędy mężczyzn, zwłaszcza młodych, trzeba zawsze patrzeć pobłażliwie i wiele im wybaczać. Mężczyzna nie ma tego pancerza jaki ma kobieta. Jemu nie broni umizgać się do kobiet ani honor, ani opinia publiczna, a przy tem przez swe stanowisko na pół publiczne narażony jest na większe pokusy. Ja jej to wszystko powiedziałem...

— I cóż? — pytał Zaremba gorączkowo.

— A nic. Trzeba trochę czasowi zostawić, żeby się to uspokoiło i ułożyło. Boleść i cierpienie leczy tylko czas. Cudowne lekarstwo ten czas, powiadam tobie. Niweluje on wszystko, zniweluje on i tę przepaść, która ciebie dzieli teraz od żony. Życie popłynie wam potem tak samo jak dotąd płynęło, do chwili brzydkiej sceny w bibliotece...

Zaremba milczał przechadzając się ciągle po pokoju. On czego innego się spodziewał ze słów Millera. Jego gorąca natura niechętnie się zgadzała na to odkładanie zgody, na to działanie na długie tempa. Teraz, kiedy z żoną był pokłócony na ostre, ta żona wydawała mu się aniołem w postaci kobiecej, wcielonym ideałem piękności, nieziszczonem pragnieniem, zakazanym a więc tym pożądańszym owocem. Już zupełnie zapomniał o Izie, o gorących jej pocałunkach, o namiętności burzącej mu krew na widok tej dziewczyny. Skandal w bibliotece wywołał w nim niesmak i gorycz, w której wszystkie niemiłe strony spadły na Izę. Teraz pragnąłby jak najprędzej pogodzić się z żoną, a tu Miller obiecuje mu to, co praw-

da, ale ze swą zimną, niemiecką krwią każe mu czekać. Czekaj tatka latka. Z czemże więc przyszedł do niego Miller, czego chce, po co mu przez pół godziny prawi morały i opowiada o sobie, kiedy jego, Zarembę, nic to nie obchodzi? Czego go nudzi ten stary?

— Proszę pana — rzekł nakoniec Zaremba — ja wiem wszystko co mi pan mówi; ja wiem, że czas ostatecznie ułagodzi rozdrażnienie Luci, ale bądź co bądź ja chciałbym się z nią pogodzić...

— Bardzo to pięknie z twej strony panie Zygmuncie. I ja też tego chcę i po to tu przyszedłem — odrzekł Miller spokojnie.

— Więc?

— Więc nic. Chcesz wiedzieć jak się to praktycznie ułoży? Bardzo prosto i naturalnie. Prawdopodobnie za chwilę zadzwonią na obiad. Już czwarta dochodzi. Zejdziesz ze mną na dół i pójdziemy do pokoju jadalnego, jak gdyby nigdy nic. Mówiłem już z twoją żoną i wymogłem na niej, że nie będzie mowy o tem co zaszło dziś rano. Teraz wymagam, żebyś i ty milczał. Nie będzie więc żadnych wyrzutów, skarg i obrony. To tylko rozdrażnia i doprowadza do większej niezgody. Zapomnienie jest najlepszym na to środkiem a resztę czas zrobi.

Zaremba musiał przyznać w duszy, że taki sposób postępowania jest najlepszy. Choć więc oburzał się w duszy i buntował przeciw niemu, zgodził się jednak na wszystko. Nie będzie nic mówił, ani się usprawiedliwiał, bo tu usprawiedliwienia nie ma. Będzie przy obiedzie rozmownym, spokojnym. Miller poprowadzi rozmowę tak, że jej przedmiotem będą rzeczy obojętne dla wszystkich. O wypadkach dzisiejszych nikt słówka nie piśnie. Zabroni o tem mówić swej żonie i Joannie, a Zaremba niech to samo uczyni względem Julka. Pobyt Izy i scena w bibliotece ma być uważaną jak sen, niemiły, brzydki, ale tylko sen... Wszyscy o nim zapomną.

Miller przed służbą już wytłómaczył powód nagłego wyjazdu aktorki wśród deszczu. Powiedział, że jest słaba, że dziś miało być konsylium lekarskie w Busku i że dla tego wyjechała. Uwierzono czy nie, to mniejsza, ale mówić o tem nikt nie będzie miał powodu. Zdaje się zresztą że nikt ze służby nie wie, co się stało w bibliotece. Gdyby zresztą Iza była spokojniejsza i miała więcej taktu, to on nawet, Miller byłby nic nie wiedział. Ale przyleciała do niego spłakana, rozgorączkowana i prawie wszystko opowiedziała. To samo opowiedziała jego żonie. Zresztą nie jest to jeszcze nic tak złego, bo przecież ani on, Miller, ani Mina, rozgłaszać skandalu nie będą. Wszystko więc będzie dobrze, musi być dobrze, tylko trzeba taktu i cierpliwości. Iza przecież w Busku nie będzie rozgłaszała także tego, co się stało. W żadnym razie nie leży to w jej interesie. Przyjazdowi jej tam nikt się dziwić nie będzie. Zanocowała z powodu burzy, ale dziś rano burzy już nie było, tylko deszcz, nie miała więc powodu nadużywać dłużej gościnności osób nieznajomych sobie. Dano jej wreszcie zamkniętą karetę.

Tak mówił Miller i uspakajał powoli wzburzonego Zygmunta. Ten ostatni przyznał mu zupełną rację i dziękował za zręczne przeprowadzenie całej sprawy.

Właśnie zadzwoniono na obiad. Poszli do sali jadalnej gdzie panie już były zebrane. Pani Łucja była blada i oczy miała czerwone od płaczu. Unikała starannie wejrzenia swego męża. Mina była smutna, blada, z wielkiemi sinemi obwódkami koło oczów. Joanna jak zwykle poważna, surowa i milcząca. Julek kwaśny, widocznie pogrążony w dumaniach o znikomości rzeczy i rozkoszy tego świata.

Rozmowa nie kleiła się wcale i Miller głównie ją prowadził. Mówił o burzy, o gradzie, o klęsce jaka go spotkała. Potem przeszedł na politykę, prawił szeroko o Napoleonie, o możebnej wojnie, snuł najdziwaczniejsze kombinacje polityczne. Słuchano go w milczeniu i po skończonym obiedzie, wszyscy rozeszli się do siebie. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Ewelina zbladła. Wiadomość tak nagła i niespodziewana oszołomiła ją prawie. Nie chciała wierzyć w siłę na nowo powołującą ją do życia i broniła się przeciw nadziei, która w ostatnich czasach odzywała się w niej tak często i głośno, w obawie śmiertelnego rozczarowania. Chciała ciężko okupiony spokój i brak wszelkiej nadziei nadal zatrzymać. A tu odebrano jej całą dawną wiarę. Więc ten piękny świat w kwietnej wiosennej szacie ma znowu do niej należeć? — Więc i ona otrzyma cząstkę życia i szczęścia? — przycisnęła ręką serce, które nagle gwałtownie bić zaczęło. Nowe światło raziło ją w pierwszym momencie.

— Lecz i ja nadal milczeć nie będę — zawołał teraz Henryk namiętnie. — Dość długo stał między nami ów cień straszliwy, teraz znikł i wszystko musi się wyjaśnić. Pokochałem cię Ewelino od pierwszego momentu w którym cię ujrzałem i zezwoliłem na plan małżeństwa z Andzią jedynie z tego powodu, by mieć możność pozostawania bliżej ciebie. Jeśli zdobywałem dla ciebie pomoc Eberhardta, tem samem zdobywałem własne szczęście. Ewuniu, czy gniewasz się na zazdrośnika, który ci niemal czasu nie zostawia na rozglądnięcie się w nowo odzyskanem życiu, a już chce je dla siebie zachować, jako swą wyłączną własność? Lecz nic ci nie pomoże, ono musi być moją własnością!

— Nie, ja nie mogę... ja nie powinnam — szeptała Ewelina drżąc cała i ledwie wiedząc co się z nią dzieje. — Moje biedne dziecię... moja Andzia...

— Andzia będzie nam wdzięczną, gdy jej oszczędzimy konieczności dania mi po formie odkosza. Byłem z nią na stopie przyjacielskiej i jestem jeszcze dotychczas, lecz serce jej już dawno zwróciło się ku innemu i czuję się nawet winnym, żem pomagał temu z czystego egoizmu z całych sił... Nie Ewuniu, teraz nie czas na pytania i wyjaśnienia, wpierw chcę widzieć mój los rozstrzygnięty! Nie proszę cię o wzajemność łzawemi tonami poezji, nie mamię cię blaskiem świetnego nazwiska poety. Jest to tylko ów wisus Henryk ze wszystkimi swymi błędami, któremu tak często czytałaś kazanie, a który mimo to leży u nóg twoich. Na szalę nic on więcej rzucić nie może, prócz swej gorącej, szczerej miłości, prócz swego życia, którego każde tchnienie do ciebie należy. Czy mimo tego zawierzysz mi Ewelino, a Bóg mi świadkiem, że nigdy tego nie pożałujesz?

Ukląkł przed nią a brunatne jego oczy zaświeciły szczęściem jak wczoraj przy powitaniu, gdy odczytał odpowiedź w jej wzroku, zanim na usta wypłynęła. Schyliła się ku niemu i głosem nieco drżącym lecz z całem uczuciem miłości szepnęła:

— Tak, brzydki, niedobry Henryku... chcę ci zawierzyć. Mimo że zawsze drwiny i żarty masz na ustach, ja wierzę w twe serce i miłość....

Z okrzykiem radości zerwał się z klęczek, porwał ją w ramiona i potokiem tak namiętnych i czułych słów i zaklęć zasypał swą ukochaną, że zdumiona i oszołomiona niemi z zdziwieniem spoglądała na niego.

— Henryku, to tak brzmi, jakbyś sam stał się poetą!

— Tak, i ja znalazłem ów niebieski bajeczny kwiat szczęścia, który otwiera złotą krainę poezji — zaśmiał się Henryk. — Już wtenczas powiedziałaś mi, gdym ci opisywał niebezpieczeństwa z jakiemi go zerwałem: to brzmi jak poezja!

— Czy masz jeszcze ten kwiat? — zapytała Ewelina cicho. — Wówczas odebrałeś go napowrót.

Z uśmiechem wyciągnął pulares, a odsunąwszy boczny schowek, ukazał jej za szkłem na białym kartonie zasuszony ów kwiatek, który po tak długim czasie zachował najzupełniej swą niebieską i purpurową barwę.

— Widzisz z jaką pieczołowitością mój talizman zachowuję — żartował Henryk. — Noszę go przy sobie i leżał on zawsze na mojem biurku gdy pracowałem. Często się zdarzało, że kwiat ten dyktował mi całe ustępy. Choć niktby w to nie uwierzył, jest to rzeczywisty kwiat szczęścia! Siły jego wypróbowałem.

Młoda kobieta zamilkła. Myślała o tej chwili, w której dotknięcie jego uchroniło ją od stanowczego związania się w chwili słabości. Jakżeby teraz była nieszczęśliwą, związana z Hellmarem, z inną miłością w sercu!

— Czy rzeczywiście poetyczny kwiatek dyktował ci ustępy do twych suchych aktów? — rzekła po krótkiej chwili. — Więc przecież pracowałeś Henryku? Teraz nadchodzi egzamin, na który wpierw zezwolić nie chciałeś. Jakże z twojem przyrzeczeniem?

Henryk schylił się i podniósł książkę, która poprzód przez nieuwagę na ziemię spadła.

— Możesz sama o tem sądzić, a właściwie już osądziłaś. Zastałem cię zaczytaną w moim „Kwiecie szczęścia.“

Ewelina drgnęła a oko jej zawisło pytająco i prawie z przestrachem na jego twarzy.

— W twoim „Kwiecie szczęścia“? Co myślisz przez to? Zkąd możesz rozporządzać w ten sposób tem dziełem?

— Z drobnego powodu, sam je napisałem! Jak widzę, zdziwiło cię to bardzo. Czy tytuł na ślad cię nie naprowadził? Obawiałem się, że zdradzi ci on moją tajemnicę, lecz jak teraz widzę, przez myśl ci to nawet nie przeszło.

Wielkie, ciemne oczy Eweliny spoczywały jeszcze ciągle z pół niedowierzaniem i zdumieniem na twarzy młodego człowieka, który w jej umyśle wyrósł tak nagle i niespodziewanie.

— Henryku, czy to prawda? Ty... ty jesteś...

— Nieznanym autorem, za którym rozbija się cała stolica i którego Hellmar zaszczyca swą najwyższą niełaską. Ty zaś nie potrzebujesz wydawać już swego zdania, gdyż niedawno chwaliłaś go już dosyć, tego nieznanego.

— I ty miałeś serce milczeć przedemną, nawet teraz, gdy mi miłość wyznawałeś?

— Właśnie dlatego aż do teraz milczałem, gdyż rozchodziło się tu o szczęście mego życia całego! Poeta, którego dzieło cię rozentuzjazmowało, któremu świat już podał pierwszy wieniec sławy, miałby lekką grę z moją romantyczną Eweliną, lecz ja nie chciałem mieć lekkiej gry. Chciałem wiedzieć, czy łobuz Henryk, którego jeszcze nie opromieniała aureola poety, którego tak często obgadywano przed tobą, może zdobyć twą miłość. Bogu dzięki, potrafił ją sobie zdobyć, a teraz zabierz sobie i poetę... obaj do ciebie należą.

Ewelina przytuliła się do jego piersi i patrzyła na niego z podziwieniem i miłością.

— Szturmem zdobyłeś sobie Henryku pozycję twem pierwszem dziełem. Czy rzeczywiście napisałeś je w ostatnim roku? Wszak nie można przez jedną noc zostać uznanym poetą.

— Nie Ewelino, przez jedną noc rzeczywiście zostać nim nie można — odrzekł z uśmiechem. — I we mnie od lat wielu wrzało to i przetrawiało się, lecz ja sam się nie rozumiałem. Tyś mi wskazała dopiero drogę, o której dotąd prawie nie myślałem i zdjęłaś mi opaskę z oczów. Z młodzieńczą pewnością siebie szedłem a właściwie pędziłem przez życie aż do chwili, w której mnie twój głos czarowny wy-

rwał z dzikiego szału i tobie jedynie zawdzięczam, jeżeli ze mnie jeszcze coś będzie. Miałaś wówczas rację, dowodząc, że życie jest za kosztownym darem, by je zaprzepaszczać i że są wyższe cele jak kwiatek z niedostępnej skały zerwany. Ja też wybrałem sobie inny „Kwiat szczęścia“, który także wysoko nad przepaścistą skałą króluje, do którego wielu daremnie rekę wyciąga, a który jest dla nich zwodniczą i niebezpieczną Loreley. Ja znalazłem drogę do niego i znalazłem słowo zaklęcia, które mi serca ludzi otworzyło. Wszak znasz strofkę z owego wierszyka:

...Kto we właściwy zerwie go czas,
Czarowną rószczkę zerwie z nim wraz....

* * *

Przez dolinę przeciągnęła burza tak dzika i niszcząca, jakiej od długich lat nie pamiętano. Z chmur nisko zawieszonych łyskało i grzmiało bezustannie. Grzmoty odbijały się stokrotnem echem po skałach i deszcz lał jak przy przerwaniu chmury. Zaledwie godzinę szalał rozpasany żywioł, a ślady widać było na każdym kroku. Wody szumiały wezbrane wysoko, drzewa leżały poobalane, drogi i mosty pozrywane i jeszcze ciągle napełniało dolinę geste morze chmur, z którego lał deszcz bezustannie.

Hen wysoko na szczytach gór burza szalała z większą jeszcze wściekłością, ponieważ tu przeobraziła się w śnieżnicę, która dęła z mroźną i lodowatą gwałtownością, i której panowanie rozprzestrzeniało się daleko aż do lasów i hal dalekich. Okolica też znanego nam domku górskiego przybrała całkiem zimowy krajobraz, świeżo spadły śnieg pokrywał zieloną trawę i brzemieniem swem przygniótł na pół przegniły dach starego domku, który mimo swej starości oparł się raz jeszcze niszczącemu żywiołowi. Burza już dawno przeszła, lecz płatki śniegu wirowały ciągle jeszcze w powietrzu, nanoszone wichrem, który dął po szczytach, a mgła dotychczas była tak gęsta, że na kilka kroków zaledwie oko mogło ją przeniknąć.

W małej i niskiej izbie siedział Ambroży ze swą towarzyszką przy stole. Stary odludek nie zmienił się wcale, tak samo był siwy i żylasty jak w zeszłym roku, tylko rysy jego zdawały się być bardziej jeszcze ostrzejszemi i bardziej ponuremi. O burzę niemal nie troszczył się wcale. Krótko przed jej wybuchem zapędził swe bydło z pomocą dziewki i chłopca do zagrody, a gdy ono było zabezpieczone i dobrze zasłonięte i gdy domek jego stał niewzruszenie, cóż burza mogła go obchodzić!

— Ależ to była burza — rzekł chłopak, żegnając się jeszcze machinalnie.— Myślałem, że tym razem dworek się nie ostoi.

— Dworkowi nic się stać nie może gdyż stoi tak silnie jak sam „Szczyt lodowy“ — odrzekł Ambroży obojętnie. Chłopak jednak, ktory obok okna siedział i przypadkiem okiem w nie rzucił i zawołał nagle:

— Patrzcie ojcze, tu ktoś nadchodzi.... tu idą ludzie.

— W tę niepogodę — mruczał Ambroży, którego to zastanowiło, wytężając wzrok dla przeniknięcia mgły gęstej. Rzeczywiście słychać było z zewnątrz głosy i widać ciemne postacie poruszające się wśród mgły. Widocznie była to cała grupa ludzi, która do dworku się zbliżała.

— Oto tutaj jest dworek — dał się słyszeć głos silny w narzeczu miejscowem. — Zaraz poznać, że leży on już w rejonie tego przeklętego Szczytu lodowego; biało tu naokoło jak w środku zimy. Z tem wszystkiem była to najobrzydliwsza droga jaką w życiu mojem zrobiłem i to prawdopodobnie napróżno. Zaręczam wam, iż oni siedzą spokojnie u starego Ambrożego i wyśmiewają nadchodzącą pomoc, która aż z doliny tu przychodzi, by ich ze śniegu wykopać.

— Bóg by to dał, lecz ja temu nie wierzę — zabrzmiał inny głos. W tej chwili Ambroży, który się domyślał, że coś ważnego zajść musiało, otworzył drzwi swego dworku. Wzrok jego spoczął najpierw na barczystej postaci oberżysty, obok którego stał doktor Eberhardt, który do nitki przemoczony i głęboko zakutany w płaszcz jednego z górali, nadzwyczaj komicznie wyglądał. Za nimi stało jeszcze cztery lub pięć osób.

— Niech będzie pochwalony — powitał go oberzysta. — Dziwią was pewnie Ambroży te nasze odwiedziny wśród takiej pogody? Lecz pewnie masz już innych gości w domu?

— Nie, nie mam żadnych gości. Czy miał kto być u mnie? — rzekł stary i ustąpił się z progu, by przybyszom wolne miejsce do wejscia zostawić.

— Pewien przyjezdny, który z dwoma przewodnikami udał się na „Szczyt lodowy“. Sądziliśmy, iż wracając wstąpił do ciebie. Czyś rzeczywiście nie widział nikogo?

— Wszak mówiłem, że najzupełniej nikogo — odrzekł Ambroży stanowczo.

— A więc siedzą tam w domku myśliwskim — zawołał doktor Eberhardt tonem, który miał być surowym, w którym jednak widoczna przebijała się trwoga. — A to wszystko przez te głupie zachcianki łażenia po górach i składania wizyt lodowcom i śniegom wierzchołków. Czy nie można równie dobrze skręcić kark na dolinie? Ma się wówczas przynajmniej pewny grunt pod nogami. Istna głupota i idjotyzm! Lecz ludzkość zawsze głupią pozostanie, a młodość... o tej już i mówić nie warto!

— To ten sławny doktor, straszliwy grubianin, który każdego za drzwi wyrzuca — rzekł do Ambrożego cicho oberżysta. — Przez całą drogę tak klął i wymyślał, ale poszedł z nami dobrowolnie, a wspinał się w górę jak który z nas, nic nie zważając na deszcz i wiatr.

(C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Helena brwi ołówkiem przeciągnęła raz i drugi, wreszcie wstała i poczęła w szafie przewracać. Leżał tam stoscały obuwia zużytego. Sprawiano buciki ciasne i eleganckie do karet, a dziś nawet na tramwaj nie starczyło. Szło się wszędzie na piechotę, drąc i wykrzywiając niemiłosiernie szpiczaste i delikatne koreczki. Jedynie możliwą na ulicę, była owa para bucików z psa morskiego, która okazała się tak fatalną podczas ślizgawki na stawie Löwensternów. Obcas szewc przybił na nowo.

— Gdy raz zostanę panią Löwenstern — głowę dumnie podniosła — z pewnością kroku nie zrobię, chyba tyle co usiąść i wysiąść z karety. Nie głupiam!...

Zniknęła za firanką u niszy, gdzie łóżka stały, aby tam dokończyć ubrania.

— Zlituj się Helo! — brat przemówił z gorzkim wyrzutem. — Czyż w tobie ani krzty nie zostało godności kobiecej, że się nie wstydzisz tak bezczelnie łapać mężczyzn?

— Godność kobieca! — zapiszczała gniewnie z po za firanki. — Na wiele ona by mi się przydała, gdybym została starą panną! Wtedy można mieć tego skarbu drogocennego ile się chce, pewnie który z was spyta o niego! Chcę wyjść za mąż, rozumiesz! Pomyśl tylko, gdybym tak doszła do lat trzydziestu, a jeszcze do mnie listy adresowano: — „Wielmożna Panna Helena Althaus“. — Okropność, okropność!... W powozie zawsze siedzieć na przedzie; w towarzystwach być ostatnią i ustępywać pierwszeństwa mężatkom, choćby najmłodszym; przedstawiać się każdej z nich z dygiem uniżonym, do kolacji dać się prowadzić jakiemu staremu łysemu emerytowi, który jeszcze potem będzie żądał tłumaczenia od pana domu, dlaczego jemu na kark zawsze pakują „Starą Pannę?!“ Los iście do pozazdroszczenia! co?

Matka przerwała rozmowę.

— Weź się też Maksiu, gdy nas nie będzie — trochę łagodniej przemówiła — do rysunku na stół z kory i drzewa kawałków, do Asty ogrodu zimowego. Pamiętasz przecie, że o tem ostatnim razem, szeroko i długo z tobą mówiła. Nie każ jej zbyt długo czekać. Odznacza cię najwidoczniej. Dlaczego nie starasz się zbliżyć stanowczo? Dlaczego nie korzystasz z jej względów łaskawych?

— Bo mnie dręczy i spokoju nie daje, tajemny głos sumienia — Maks szepnął głucho, więcej sam do siebie, niż w odpowiedzi na pytanie — a temu głosowi... Marta na imię.

Na szczęście matka tych słów nie do słyszała. Obie panie wyszły z domu.

Zrobiło się cicho w koło Maksa. Czuł się na śmierć znużonym.

Plac musztry był na drugim końcu miasta, jego koszary toż samo. Co dzień musiał brnąć w błocie tam i nazad kawał drogi. Zwykle spóźniał się, a przełożeni mruczeli i łajali opieszałego. Od dawna zobojętniał na to wszystko.

Nawet i do rysunku stracił wszelką ochotę. Usiadł wprawdzie przy stole z przyborami, ale patrzał li bezmyślnie, na papier i ołówki, nie biorąc ani jednego z nich do ręki.

Dumał nad tem jak wczoraj późnym wieczorem zakradł się pod domek na żółto pomalowany.

Zaglądnął z boku przez niskie okienka, oświetlone lampką wiszącą u sufitu, do środka. Cała rodzina murarza otoczyła misę na stole z dymiącemi ziemniakami, suto słoniną okraszonemi. Skwarki pachły aż na ulicę. To też dzieciaki jadły, aż im się uszy trzęsły. Każdy siadł do wieczerzy jak go wieczór zastał. O specjalnej toalecie nie było czasu pomyśleć. Jeden chłopiec miał włosy klejem zlepione, drugi twarz sobie farbą zamazał, którą ojcu przez dzień rozcierał. A jednak nie był bez wdzięku ten obrazek z życia; wiała z niego rzewna prostota i coś patrjachalnego.

Weszła nagle do izby pani Walther drzwiami w głębi. Oczy jej błyszczały radośnie, na policzki wystąpił ciemny rumieniec, w rękach drżących trzymała list rozpieczętowany, który głośno czytać zaczęła. Murarzowa łzy raz po raz rękawem ocierała; murarz uśmiechał się i kiwał głową z widocznem zadowoleniem. Ach! gdyby mógł choć słów kilka usłyszeć! Posunął się ku oknu, pod którem staruszka z listem usiadła. Nagle jakby ją coś tknęło odwróciła się pani Walther i poznać go musiała. Wstała natychmiast, urywając w pół czytanie. Ona nie umiała grać komedji i udawać jakby jej wcale nie obchodziła sroga krzywda jej Marcie wyrządzona.

Cała rodzina murarza stanęła po stronie matki obrażonej. Sam gospodarz wyciął groźnie w stół pięścią i tak spojrzał w okno, że Maks cofnął się w głąb mimowolnie. Dzieci mściły się po swojemu, języki wystawiając na nie widzianego. Murarzowa podniosła się i wyszła do sieni. Za chwili zadudniły jej drewniaki na płytach kamiennych pod domem. Pozamykała z trzaskiem okiennice, które mąż ze środka zaśrubował. Nie można było wymowniej choć bez słów i za kark nie biorąc, kogoś nieproszonego za drzwi wyrzucić.

— Szczęśliwy stan! szczęśliwi ludzie! — dumał Maks dalej — po pracy mają bodaj chwilę swobody, chwilę wypoczynku! Mogą zgarbić się pod losu ciężarem, mogą żyć jak im się podoba... A my?... wiecznie w jakiejś roli, nigdy nam nie wolno być szczerze takimi jak jesteśmy... wiecznie z głową dumnie podniesioną, z piersią naprzód wydaną balansujemy z nogi na nogę utrzymując niby siłacz w cyrku drąg żelazny; nasz los na końcu nosa, robiąc minę

jakby nam to bardzo lekko przychodziło! Oh! nędzni z nas nędzni pigmejczycy!

Uczuł dreszcz w całem ciele. Pieca nikt nie zatkał, ogień zaś wygasł od dawna i ciepło ulotniło się zupełnie. Nie śmiał jednak na nowo zapalić. Dziś trzeba było na każdym kroku oszczędzać! I jeść mu się chciało. Zostało się wprawdzie od śniadania trochę ryby w galarecie, tej atoli przełknąć nie był w stanie. Zamiast gelantyny, użyto do niej brudnych i nie pierwszej młodości nóżek cielęcych. Wziął zatem z talerzyka ostatnią bułeczkę. Talerzyk był lichą imitacją fajansową, tak nazwanej: „*Porcelaine craquée*“... wiernem odbiciem ich życia obecnego. Czyż wszystko co czynili nie było niecną blagą, oszukaństwem najwyższego kalibru, łapką na głupich i łatwowiernych? Trzeba było pozostać wiernym hasłu pierwotnemu pani radczyni:

— Wszystko zostaje jak było... Mój mąż najdroższy, tak myślał o naszej przyszłości... i t. d...

* * *

Tegoż dnia samego nad wieczorem Löwenstern wpadł jak bomba do domu, z butami zabłoconemi po same kolana, obryzgany błotem gdzieś aż po szyję, z brodą i wąsikiem na cztery wiatry, z brwiami podniesionemi w górę, co u niego świadczyło o najstraszliwszem wzburzeniu.

Dżon przerażony, pośpieszył za swoim panem do ubieralni. Długo trwało zanim zwierciadło *rococo*, podtrzymywane przez pyzatych i figlarnie uśmiechniętych Amorków, odbiło prawdziwego Detlewa nieposzlakowanej elegancji i dystynkcji w ubraniu, z koszulą batystową śnieżnej białości, z krawatą misternie związaną, w której tkwiła artystycznie wyrobiona ze złota głowa psia, mrugając wielkiemi oczami z brylantów, z obuwiem lśniącem, zastosowanem wytwornością do jego nogi, małej jak u owego sławnego Kopciuszka.

Nareszcie kamerdynerowi udało się i włosy tak na głowie, jak w brodzie, do ładu i składu przyprowadzić. Zewnętrzna zatem powłoka była znowu bez zarzutu, wewnątrz jednak Detlew nie mógł tak łatwo odzyskać równowagę, dyszał gniewem i ciskał z czarnych źrenic spojrzenia piorunujące.

Tylko co skończył się był przebierać, kiedy siostra przysłała z zapytaniem, czyby nie mogła oglądnąć nowych zdobyczy brata w dziedzinie starożytnosci?

W to mu graj! Wyleciał jak z procy, aby zobaczyć się z nią jak najrychlej.

Teraz miał w ręku niezbite dowody niewinności zawsze mu drogiego przyjaciela, po którym nie mógł się odtęsknić. A siostra tak go bez litości potępiła! o tak wielką zbrodnię Gehrena pomawiała!

Zastał ją już na dole w jego ulubionej sali rococo. Mimo zmroku zapadającego, sala jaśniała blaskiem pełnym kokieterji, niby piękna elegantka w stroju batystowym. Tapety lśniły srebrnemi arabeskami i bukietami z róż, tak świeżemi, że się mimowolnie rosy na nich szukało. Gdzieniegdzie wisiały obrazki à la Vatteau, sielanki z prześlicznemi pastereczkami i umizgającymi się do nich pasterzami wymuskanymi, jacy swoją drogą chyba po parku w Petit Trianon stąpać mogli; albo sceny miłośno-naiwne, markizów upudrowanych i dam w łokciowych fryzurach, igrających z malutkimi cudnymi charcikami, dla wzbudzenia zazdrości w amantach czule wzdychających.

To były czasy rozkoszne, w których miłość uważano za najmilszą w życiu zabawkę, a nie robiono z niej srogiego *casus belli*.

Wielki Boże! aż smutno było spojrzeć na Astę, taką bladą, tak zmienioną i drżącą febrycznie mimo zarzutki popielicami podbitej. Wyglądała niby kwiat ścięty mrozem, zanim potrafił rozwinąć się w całej krasie. Oto zysk cały jeżeli strzały figlarnego amorka, zamieniamy na grot zatruty jadem niewiary i zwątpienia rozpaczliwego.

— Tak się pusto w koło mnie zrobiło! — skarzyła się Asta żałośnie. — Pani Bertrand odjechała pociągiem błyskawicznym.

Po chwili dodała z bladym uśmiechem:

— Uszczęśliwiona, że wraca do swojego Paryża, z sumką wcale pokaźną.... Żałowała tylko, że ciebie nie było gdy odjeżdżała.... Trudno mi będzie znaleźć kogoś na jej miejsce; nie była dla mnie wielką rozrywką, ale przynajmniej nie zawadzała i nie nużyła... Nie mogę teraz ścierpieć nowych twarzy w koło siebie....

Detlew milczał jak zaklęty. Mówił sobie w duchu, iż gdyby Asta nie była takim uparciuchem nieubłaganym, mogła by mieć teraz najmilsze w świecie towarzystwo. Roman ze swoją siostrą Sylwią zastąpili by, i jak jeszcze! Francuzicę.

— Nie masz jak widzę ochoty — Asta smętnie główką potrząsła — pogawędzić trochę ze mną.

— Czy może mieć doczego kolwiek ochotę, biedna ludzka istota — szorstko odrzucił — na którą, jak na jakiego drapieżnika, formalną obławę urządzono?

Upadł na najbliższą sofeczkę, poruszając nogą na drugiej założoną, z równą szybkością jak wahadło u stojącego na kominku zegara, na którem było emaljowane na złotej blasze pawie piórko, tarcza zaś wyobrażała wieniec z róż, z rojem pszczółek i motylów różnobarwnych.

— Jakież nędzne to nasze życie obecne! — zawołał rozpaczliwie, z giestem tragicznym — Althausy *la*, Althausy *qua*! Althausy *sic*, Althausy *gui*! okropność! jakby nikt już więcej nie istniał na świecie! Co za hecę dzisiaj znowu ze mną wyprawiły. Od rana snuły się po placu giełdowym, Wysoko Urodzona z córunią, ma się rozumieć! Na szczęście, miałem przed giełdą mojego giga; zanim spostrzegły, już siedziałem na wysokim koziołku, gdzie w żaden sposób wydrapać się nie mogły.... Po obiedzie scho-

dzę do ogrodu, bocznemi schodami, po drugiej stronie zabudowania.... Bogowie! one tuż za plecyma! Usiłuję skryć się w gęstym szpalerze.... Aha! właśnie!.... Wysoko Urodzona komenderuje: „Naprzód!“... i zaczęło się szalone Steeple-Chase. Zmykam jak zając przed chartami, panna w tropy za mną! Przesadzam z elastycznością clown'a róż szpaler, kwiatów rabaty, chcę już spróbować mojej umiejętności gimnastycznej i skoczyć przez parkan wysoki do pół piętra, aż tu.... wołają mnie w głos, po nazwisku i imieniu! Tego nawet psy rasowe sobie nie pozwalają i gonią na śmierć częstokroć zwierze nieszczęśliwe, ale po cichu!... — „Pardon! kochany panie Löwenstern!“ — deklamuje słodziutko córunia zachodząc mi z flanku — „Skoro pan nas nie widzisz, musiałam zawołać.... może to nie wypada!“... — spuszcza oczy córka niewiniątko! — „między dobrymi przyjaciółmi“.... — to dobrymi, czule podkreśla.... i dalej kropla w kroplę, wydanie poprawne sztuczek, komedji i zaczepek, jakiemi Gehrena prześladowała. Te same zabójcze spojrzenia, ten sam młynek wachlarzem, jakby należała do rodziny owych zwierzątek kręcących się, aby w wirze pochwycić jak największą ilość much i owadów. Pomyślały widocznie: — „Z Gehrenem nie ma interesu, łapmy na arkan Löwensterna.“ — Grubo się jednak przeliczyły!.....

Tak energicznie bębnił po gierydonie *en laque* w guście japońskim, że aż Chińczyk na nim stojący, zaczął się kiwać z wielką powagą.

— Dałeś się unieść za daleko litości nad sierotą i to ich w błąd wprowadziło — starała się łagodzić brata rozdrażnienie.

— Tylko ty siebie pilnuj — brat uciął złośliwie — żeby także fałszywie nie wytłómaczono twojej litości! nie urojono sobie, żeś w maksie Althaus rozmiłowana! Przez miłosierdzie boże, cóż to za niedołęga! Jego przełożeni dostają mdłości nieledwie, ujrzawszy go z daleka; w towarzystwię, skoro poproszą o spiew, ma chrypkę w kieszeni! skoro chcą tańczyć, oho! kuleć zaczyna... Żeby choć umiał zapiać, lub zaszczekać! A gdy tobie z musu asystuje, krzywi się jak po pigułce, jakby chciał powiedzieć: — „Panie! oddal odemnie ten kielich goryczy! Ale jeżeli tak byś musi.... niech się stanie nie moja, tylko mojej mamy wola!“ Cedzi słówko po słówku, jakby spał, lub o drogę pytał... Aż mnię język świerzbi powiedzieć mu:

— Pan coś zgubił zapewne?.... szukaj że sam jak szpilki po posadzce, bo ja ci znaleść nie pomogę!....

Teraz Asta z kolei milczała, patrząc li z wyrzutem gorzkiem na Detlewa.

— O! — wykrzyknął, hamując się cokolwiek w uniesieniu. — Plotę co mi ślina na język przyniesie, bez sensu, brutalnie, bez cieniu delikatności!... wszystko prawda!.... Bo mnię też przywiodła do ostateczności twoja w obec Romana niesprawiedliwość! Biedny mój, drogi, zapoznany przyjacielu! Nie pozwolę dłużej, na przemilczanie tej kwestji drażliwej, jakby on więcej na świecie nie istniał. Czyż nie dość próby dla mnie, że go nigdzie nie widzę i nie spotykam? Kiedyś tu — zarumienił się jak pensjonarka, gdy ją wyłapią w chwili windowania na cieńkim sznureczku pierwszego bileciku miłośnego — kiedyś tu.... ochota mię zebrała, przejść się razy kilka po pod jego kamienicę.... Story w oknach pospuszczane... musiał wyjechać, nawet się ze mną nie pożegnawszy... Rzecz naturalna... ale dla mnie coś rozpaczliwego! Nie zniosę jednak takiego zerwania gwałtownego, takiej niczem nie zasłużonej banicji; sądzę, iż do nas należy nawiązać stosunki na nowo. Patrz na mnie jak chcesz surowo, a ja jeszcze raz powtórzę, żeś Romana ciężko skrzywdziła. Osądź z losu, który mnie spotkał niestety, jak niewinnie można wpaść w pazurki panny Althaus, i być przez nią uważany za jej własność wyłączną. Skoro zaś jesteś tak w sądach nieubłaganą, dla czegoż okazujesz tyle pobłażliwości panu Maksowi Althaus, który djabelnie się o to pytał i troszczył, czy przypadkiem nie skompromituje i nie narazi na najgorszą obmowę dobrej sławy panny Walther, uwodząc ją latami jakiemś iluzorycznem narzeczeństwem, i zrywając z nią nareszcie wszelkie stosunki!

Asta przyjmując dotąd w milczeniu wyrzuty brata, nagle głowę podniosła i energicznie zaprotestowała:

— Jak możesz, bodaj na chwilę, porównywać tych dwóch ludzi?! Biedny, niedołężny marzyciel, wiotka trzcina, chwiejąca się za lada podmuchem, która nikomu i niczemu czoła stawić nie umie i nie zdoła.... obok Romana Gehren! Czyż Maksa winić, co go na tak niewłaściwe tory wprowadzili, i o tak niemiłosiernie wyzyskują jego słabość i wrodzoną nieporadność? Gdy przeciwnie Roman, ile razy na niego spojrzałam, przypominał mimowolnie pół bogów greckich. Ta postać wyniosła, ta piękność klasyczna, ten spokój uroczysty świadczył wymownie o pochodzeniu w prostej linji z Olimpu: zdawać się mogło, iż spłynął na chmurze i stąpa dumnie, po tym nędznym ziemskim padole, nietknięty ludzkiemi słabostkami. Duch tak potężny, umysł tak jasny, powinien wytknąć sobie i cel w życiu odpowiedni. A on czemże był zajęty? Oto wyszukaniem żony posażnej, której pieniądze dostarczyły by mu przepychu bezmyślnego i pozwoliły gnuśnieć w bezczynności. O ileż byłabym wolała, żeby nawet był nie zwrócił na mnie uwagi, nie spojrzał nigdy w moją stronę, ja zaś mogłam patrzeć z daleka, jak się ten człowiek rozwija i z dniem każdym bliższym jest szczytu doskonałości. A mnie tymczasem spotkał los nieszczęsny, widzieć mój ideał spadający tak nisko, tak nisko! na równi z tłumem ludzi najpospolitszych!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Drukarnia „Polska“ Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.